Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Poniedziałek 26 Listopada Nr 34. 1838 Roku.

TATARZY NA WESELU.

HISTORYJKA.

(DOKOŃCZENIE.)

Miarkujcie jaka być mogła biesiada Księcia Wojewody Pana na Ostrogu, który miał dziesięć milionów rocznego dochodu, który za Marszałka Dworu trzymał jednego ze starszych Wojewodów, płacąc mu siedémdziesiąt tysięcy złotych, którego orszak zwyczajny dwa tysiące dobornéj szlacheckiéj młodzieży składało.

W wielkiéj sali godowéj, po któréj ścianach rozwieszone były obrazy familijne i niektóre trofea wojenne, zastawiono długie stoły w kształt podkowy, okryte trzema wedle zwyczaju leżącémi na sobie obrusami szytémi, na których kurzyło się już piérwsze danie. W oddaleniu nieco połyskiwał niezmierną mocą sréber kredens za balustradą, przed którym stały stosy talérzy, półmisków, pucharów i złocistych rostruchanów.

Nad wielkiémi drzwiami wchodu, na wysokiéj galeryi, ustawiona była muzyka i śpiéwacy chłopięta.

Przy jedném z okien sali, osobno zastawiono stolik suto założony mięsiwem dla nadwornego żarłoka Bohdana, który na dzién za trzydziestu zjadał, i ze trzydziestu w potrzebie mógł się mierzyć. Było tam takie mnóstwo mięsiwa pieczonego i gotowanego, że ledwie uwierzyć było można, iż to wszystko pożre, jeden miernego wzrostu człowiek, niezbyt nawet otyły.

Goście weszli do sali jadalnej — panna młoda tylko się niepokazała. Za niémi słudzy i dworzanie wtoczyli się, mający stanąć za stołkami panów. Podano naprzód gościom s kolei wielką złocistą miednicę i nalewkę podobną, do umycia rąk, a nareście ręcznik suto po końcach szyty perłami. Marszałek dworu rozsadził ich wedle dostojeństwa i tak przystąpiono do piérwszego

dania, które składały pływające we czterech sosach żółtym, różowym, czarnym i szarym spore mięsa kawałki. Trzech krajczych u każdego stołu posługiwało. Oprócz tego, rozstawione było pieczyste i przyprawy korzenne, licząc w nie krajowy chrzan z octem, kapustę kwaśną i ogórki. Goście mało co przedtém śniadawszy niewiele jedli sami, lecz nakładali z górą talérze i oddawali je sługom stojącym za niémi, ktorzy tuż zaraz za ich krzesłami, głośno podane potrawy spożywali. Przed każdym z siedzących był talérz srébrny nakryty maléńką serwetką i łyżka srébrna pozłocista. Popijano piwo tylko w długich kielichach szklannych.

Po piérwszém daniu zdjęto je razem s piérwszym obrusem, a drugie zastawiono z samych pieczeni różnego rodzaju składające się, zwierzyny, ptastwa i ryb. Mimo wspaniałości uczty spostrzédz można było także na stole dziś bardzo wzgardzony groch ze słoniną i kaszę krajową. Nakoniec nastąpiło trzecie danie z samych łakoci złożone. Tu dopiéro zaczęły się toasty za przyszłe powodzenie państwa młodych.

Gdy już do ust niesiono kielichy, a muzyka i moździérze połączyli się z wykrzykiem *Piérwsze zdrowie!* — nagle z dziedzińca ozwał się głos — nie vivat wykrzykujący, nie radosne hura! lecz krzyk przestrachu, który stłumiwszy wszystkie, skamiénił gości i wytrącił z rąk ich puchary.

Wybladły kozak wpadł do sali.

» Książę,» zawołał, «Tatarzy! «i padł z osłabienia i przestrachu.

Wszyscy porwali się od stołu; gwar, krzyk, zamięszanie, ścisk i zgiełk się zrobił po całym zamku. Wszyscy wołali: «Tatarzy! Tatarzy!» Książe Sołomerecki pobiegł do narzeczonéj swojéj.

» Idź do szabli i konia!» odpowiedziała mu i znikła.

Strwożony wyjrzał oknem. Na błoniu za lodami Ikwy, pod lasem, warczał i rozwijał się zagon niezliczonych Tatarów, który złodziéjską doliną blisko Dubna niepostrzeżony doszedłszy, nagle wpadł pod miasto pędząc przed sobą kozaków wysłanych po język. W oddaleniu rozeznać niémożna było liczby, powiększonéj końmi lóżnémi, które Tatarowie zwykli byli z sobą prowadzić dla odmiany — szarzał tylko ten tłum posuwając się coraz bliżéj.

Książę zbiegł na dziedzińce. Tu siodłano konie, wyciągano działa, zwodzono mosty, lud z miasta i przedmieść cisnął się w bramy tłumnie krzycząc i wiodąc zsobą bydło, konie, wozy. W monastérze Świętego Krzyża bił dzwon na trwogę ponuro a spiesznie — przestrach był nie do opisania.

Książę Wojewoda zimny, nieporuszony, stał na podworcu i dawał roskazy gładząc brodę. Niewielkie hufce gromadziły się kolejno w milczeniu; wszyscy służalcy przybyłych gości, siadali na koń, gotowali oręż. Książę Sołomerecki milczący stanął przy nim i patrzał mu w oczy.

Tym czasem tłuszcz tatarska coraz się zbliżała pod zamek, s krzykiem, a raczéj piskiem okropnym nieregularnym tłumem postępując, opasywała warownię, zapuszczając się w opuszczone już prawie przez miészkańców przedmieścia. Niektórzy Murzowie z oddziałami podbiegali pod mury, które oczyma mierzyli, a strzały ich jak posłańce boju, padały nawet na podworzec zamkowy; inni potrząsając długie sznury przygotowane na jeńców, pokazywali je stojącym na zamku.

Tabor z wozów siadał na dolinie, rozbijano kilka lichych nad wozami namiotów. Wszystko to działo się z nieporównaną szybkością, ale miészkańce zamku dość spokojnie na przygotowania patrzyli. Sposobiono kamiénie, wodę wrzącą, nabijano działa, rozstawiano na okół straże, mocniéjsze po bastionach i bramach, a hufce tam, gdzie grubsze lody mogły dopomódz do wdarcia się na zamek Tatarom.

S téj uczty weselnéj wrzącéj wesołością, w jedną chwilę zrobiło się przygotowanie do boju smutne a przynajmniéj poważne i posępne. Panny i kobiéty modliły się po oddalonych komnatach i w cérkwi — modliły się i łamiąc ręce płakały.

Gdy się to dzieje, a strzały Tatarów coraz gęściéj jakby na urągowisko pod nogi oblężonym padają, wszyscy jeszcze wyraźniéjszéj czekając zaczépki stoją w milczeniu. Nagle ze wschodów bieży któś, w czarnéj sukni, na dziedziniec, wpada między stojących i woła. — «Tu strzały świszczą, a wy stoicie jeszcze?« — Na te wyrazy głośno wymówione, wszyscy się obracają, nawet Książe Wojewoda. «Kto je wyrzekł?» — « Panna młoda. «

Ona zaplotła kosy, wdziała suknią żałobną, uzbroiła się w miecz znaleziony gdzieś w opuszczonych komnatach i piérwsza z zapaloném okiem bieży do działa stojącego z otwartą na dolinę paszczą.

Przed nią rozwija się cały ten straszny obóz tatarski, do jéj uszu dolatują głosy ich dzikie, widzi ich łuki napięte i szable błyszczące i wozy i konie i wśród téj zgrai wznoszący się namiot Hana, który w blasku zachodzącego już słońca świéci się purpurą, rospina się, siada i s księżycem na czole, grozić się zdaje krzyżom kościołów i cérkwi.

Na ten widok staje Księżna Beata, patrzy długo i myśli, i zdaje się jakby się po cichu modliła. Wszyscy milczą, tylko Bohdan żarłok nabija działo — Księżna celuje niém, wyrywa łąt zapalony z ręku puszkarza, przykłada. — — —

I wystrzał głośny rozbija się w powietrzu, huczy, grzmi, a kula świszcząc leci w dolinę. — Za dymem nic niewidać — lecz wiatr zachodni rospędza go. Księżna Beata klaska w dłonie — Niéma namiotu Hana, księżyc złoty leży na ziemi, kula go obaliła!

Z obozu Tatarów wrzask okropny słyszéć się daje, widać jak się kupią i gromadzą i jak ruszają z nową wściekłością ku zamkowi.

»Księżno!» odzywa się ktoś s tłumu, «zabiłaś im Hana, oni nas wszystkich w pień wytną!«

Beata spójrzała w milczeniu s pogardą i kazała nabijać działo; a Tatarzy którzy się tak byli rzucili ku zamkowi, zaczęli zaraz ściągać się, kupić, nareście obóz łamać, wozy zaprzęgać i spiesznie daléj zagon popędzili.

A kiedy w oddaleniu przy księżycu widać już tylko było czerniejącą ich zgraję, Księżna otrząsając pył z sukni, i ociérając czoło, zawołała do Wojewody. — «Teraz czas do cérkwi!» — «Idźmy! « powtórzyli wszyscy z zapałem.

J. I. Kraszewski.

BIAŁY CZŁOWIEK
NA DWORZE
KRÓLA NEGRÓW.

W zachodniém nadbrzeżu Afryki, leży pod gorącą strefą w cieniu palmowych, cedrowych i cytrynowych gajów, széroki kraj nazwany *Gwineą*. Przez długi czas żyli piérwotni czarni mié-

szkańcy téj krainy w swobodzie i nic niekłóciło ich spokojności; bo królestwo Akim, na szczęście Negrów, blisko sta mil od brzegów odległe, nietak łatwo nawidzane być mogło od przemyślnych Europejczyków, którzy się dotychczas po brzegach tylko nadmorskich gościć ośmielili. Tymczasem zasłyszał już cokolwiek Król Akimu *Trempung*, o jakichś *białych potworach morskich*; tak bowiém nazywali Negrowie, dość barbarzyńsko, nas kształtnych Europejczyków! Lecz taki to jest urok i moc wzwyczajenia; dla czarnych dam i panów w Gwinei nic niéma powabniéjszego i piękniéjszego nad aksamitne gładkie i jak heban czarne ciało. Wiadomo, iż, gdy angielscy podróżni Adanson i Mungo-Park przez afrykańskie osady podróżowali, gdzie jeszcze niémiano sposobności dziwienia się europejskiéj gracyi, dzieci Negrów z straszliwym wrzaskiem i przestrachem przed nimi uciekały. Żony Króla Murzynów *Ali*, które sobie Mungo-Parka najusilniéj widzieć życzyły — bo trzeba wiedzieć, że i w Afryce kobiéty niemniéj ciekawe — nieprzestały nalégać na Króla, aż im Anglika przedstawił. Nigdyby on był swoim pięknościom przystojnego mężczyzny niepokazał, ale widząc białą potworę wodną, ani pomyślał o zazdrości: prosił ich tylko, aby się do najstraszniéjszego widoku przygotowały, i roskazał mieć w pogotowiu wszelkie środki przywrócenia ich do przytomności, gdyby przypadkiem zasłabły; jakoż w istocie, gdy czarne piękności podróżnego Anglika ujrzały, omal niepomdlały s przestrachu. Najodważniéjsze nawet z nich, chcąc się cokolwiek do Anglika zbliżyć, uczuły mimowolnie drżenie przestrachu i cofnąć się musiały. — Cóżby to dopiéro było, gdyby się która z naszych najpiękniéjszych blondynek, a którąby za skończoną piękność mieć można, do pałacu monarchy Negrów zbliżyła? — Uchowaj Boże! piękność ta bezpiecznie u nas w rząd aniołów liczona, naprowadziłaby dzikich Negrów na dzikszy jeszcze domysł, iż jéj żywcem skórę zdjęto.

W saméj rzeczy sądzą Negrowie w grubéj niewiadomości, iż zdolnymi jesteśmy do takiego czynu, któremu też jedynie naszę obmierzłą białość przypisują. Niektórzy trzymają nas wprost za ludożérców, i nadają nam w ich

grubym języku nazwisko, które po polsku właśnie tyle co *mięsożérny djabeł* znaczy. Łatwo sobie jednak wystawiam, skąd to obrzydłe miano pójść mogło. Gdy z głębi Afryki, na przedaż do europejskich okrętów przywlékanych czarnych niewolników opatrywano, czyli zdrowi i ile warci: niezawodnie sobie niewiadomi Negrowie wnosić mogli, iż się to dla tego dzieje, aby rospoznać, czy są do pożarcia zdatni, i w tém błędném mniemaniu zostali.

Aby prawdę powiedziéć, przyznać jednak musimy, iżeśmy i my także niegdyś czarnych nie za właściwych ludzi trzymali, lecz za rodzaj zwiérząt trzymający środek między małpami a ludźmi. Nasi uczeni dowodzili nam *czarno na białém* w nieśmiertelnych dziełach rycinami ozdabianych, iż poczciwi czarni mniéj rozumu od nas posiadają. Od czasu zaś, jak Negrowie dowiedli, iż i oni cywilizacyą przyjąć mogą; jak na wyspie Hajty szkoły, rękodzielnie a nawet ustawy i prawa mają; s którychby się może niejedno i w oświéconéj Europie przydało: od tego mówię, czasu odmiéniło się cokolwiek zdanie o rozumie Negrów, a wielcy uczeni ze swémi rozumnémi i nieśmiertelnémi dziełami, wyglądają odtąd mniéj rozumnie.

Lecz zapomniałem o Królu Akimu, a o jego to piérwszém spotkaniu z europejską figurą opowiedziéć sobie zamierzyłem.

Jakem więc namiénił, doszły roschodzące się coraz głośniéj wieści o *białych potworach morskich*, które morzem nadpłynąć i z wielkiéj drewnianéj skrzyni na brzég wyléźć miały, i do uszu królewskich. Podróżni którzy te stworzenia na własne oczy widzieli, utrzymywali przed monarchą, iż potwory te zadziwiające, mają podobieństwo do ludzi, iż na dwóch nogach prosto chodzą, nieprzyjemnym głosem rozmaite tony wydają, s których wnosić można, iż się jak inne zwiérzęta między sobą rozumiéć muszą. Nie są jednak wszyscy jednakiego kształtu i koloru; w twarzy mają po prawdzie wszyscy obrzydłą białość, lecz na ciele najwięcéj pstrych i kudłatych. Inni znowu podróżni zapewniali i zaprzysięgali, iż na brzég wylazłe *stworzenia wodne* nie są bynajmniéj ludźmi, lecz jakiś rodzaj *djabłów morskich*. Wielu z nich mają pod nosem długie włosy, i piją naj-

milėj wodę, któréjby żaden człowiek używać niémógł, bo kilka tylko kropel do ust wziętych, pieczenie jakby ogniem sprawują. Przynieśli także z głębi morza jakieś pałki, w których się błyskawica i grzmot znajduje. Jeżeli tą pałką do ptaka w powietrzu wymierzą, spada natychmiast po błyskawicy i głośnym grzmocie nieżywy, jakby strzałą trafiony. — Dziwił się Król Akimu, tym doniesieniom, lecz niewszystkim wiarę dawał. Tymczasem potwiérdzano ciągle słyszane wieści, a podziwienie Króla dochodziło do najwyższego stopnia, gdy nareście znany dobrze s charakteru i rozsądku szacowany obywatel jego kraju, s podróży powrócił, którą był w interesach handlowych ku brzegom morza przedsięwziął. I on widział na własne oczy te potworne stworzenia, i oświadczył przed Królem, swoim Panem, iż je wyraźnie za ludzi z innego świata uznaje; a mniemanie swoje następującémi starannie opowiadanémi postrzeżeniami odowodniał: — «Znajdują się na brzegach niektórzy ludzie nasi, którzy się języka owych istot ponauczali, a nawet z niémi rozmawiają, czego jeszcze na innych zwiérzętach niedoświadczono; muszą więc także być ludźmi. Czyli zaś od Boga tyle jak my dostali rozumu, — niewiém; owszém poważam się powątpiéwać o tém: bo chociaż czasem rozumnie się zachowują, częściéj jednak pokazują się przeciwnie. Największą znajdują roskosz, pić wodę palącą, poczém zupełnie głupieją, śmieją i zataczają się, ściskają każdego kto się nawinie; biją i skaczą dopóki ich sen nienapadnie. Wstawszy, stają się znowu dość rozumnymi.

Mają także zdolność do tańcu. Uważałem iż, gdy jeden z nich włosiennym kijem po wydrążoném drewnie suwać zacznie, jedni na świegotliwy głos który to drewno wydaje, drgania w nogach dostają, drudzy wymierzonym krokiem postępują, a inni znowu w lewo i w prawo skaczą.

Uważałem daléj, iż mają jakieś zaczarowane kartki, którémi się często zajmują. Zasiada ich razem kilku, biorą te pstro malowane kartki które są jednakiéj wielkości, mięszają je dobrze i rozdają między siebie. Potém wpatruje się każdy w nie, i ani z nich oka niespuszcza. W oka

mgnieniu pokazuje się dziwna moc tych czarów, bo niektórzy patrzą się ponuro i gniéwliwie; drudzy śmieją się z dziką radością; inni znowu radują się, albo smucą i rospaczają, jakby co najmilszego w świecie utracili.

Król potrząsał na to doniesienie głową, jak się to przy osobliwszych i niepodobnych wieściach, których przecie ze wszystkiém zaprzeczyć niémożna, czynić zwykło. Ciekawość jego doszła do najwyższego stopnia, i jak najusilniéj życzył sobie oglądać jedno s tych potwornych stworzeń, choćby już i nieżywe; we wszystkiém albowiém co dotychczas słyszał, było wiele sprzéczności.

Pozwoływał więc najdoświadczeńszych rodaków swego państwa do siebie, aby się o ich zdaniu dowiedzieć. Niektórzy z najstarszych przestrzegali go: » Strzeż się wprowadzać te dzikie potwory do szczęśliwego kraju naszych naddziadów; słusznie albowiém obawiamy się nieszczęścia z ich przybyciem. Czyliby potędze naszych Królów a twoich przodków — czyliżby własnéj twojéj sile trudną było rzeczą rozszérzyć granice państwa Akim aż do najdalszych końców zamiészkanéj ziemi? — Lecz niezapragnęli oni tego, ani myśleli, posuwać się poza słone topielisko, które Bóg potworom na siedzibę przeznaczył. Niechaj tam słońce każdego wieczora zapada, by nazajutrz jaśniéj i silniéj zeszło; lecz dla nas tam szczęścia niéma! — Stamtąd to pochodzą ogniste gromy w ciemnych obłokach, niszczące ziemię nawały i grzmoty s przeraźliwym rykiem: i tam to wylęgły się potwory, co w pałkach błyskawicę trzymają i jak wodę ognisty żar żłopią. «

Tak mówili najstarsi z radzców; lecz młodsi równie jak i Król, ciekawi, innego byli zdania: « Przystoi przecie — utrzymywali oni — Królowi i jego rodzinie, dociekać należycie wszystkiego, cokolwiek się dzieje, by się przekonać jaki to wpływ na dobro kraju miéć może; przedewszystkiém zaś idzie tu szczególnie o to, czy te wyrzutki słonéj wody w saméj rzeczy ludźmi są. »

(DOKOŃCZENIE NASTĄPI.)

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.